Rok IV. Kraków 1 Lipca 1896. **Nr 11.**



NOWY DZWONEK

PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi**: rocznie: **2** złr. **50** ct. półrocznie: **1** złr. **50** ct.
Kto przeto składa z góry *całoroczną* przedpłatę, płaci o 50 ct. mniej.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **5** mk. — półrocznie: **3** mk.

W Ameryce rocznie: **1½** dolara.

Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Ojcze nasz!

Z wiarą, nadzieją i miłością w duszy
O ludu polski spoglądaj przed siebie
I błagaj Pana, który trony kruszy,
Modląc się: *Ojcze, który jesteś w niebie!*

W przeszłości wielcy, silnymi w przyszłości
Staniem przeszedłszy przez trudy i znoje;
Do Stwórcy, który wywiódł świat z nicości
Módl się o ludu: *Święć się Imię Twoje!*

Z rozdartą piersią na gruzach swej ziemi
My silni duchem — gotowi na boje!
O litość Pana nad nieszczęśliwymi
Módl się o ludu: *Przyjdź Królestwo Twoje!*

Prośmy o powrót wolności i sławy
I niech zabłyśnie dla nas lepsza dola;
Panie! co w ręku masz narodów sprawy
Przyjm modły ludu: *Stań się Twoja wola!*

Pokorni duchem przed obliczem Pana
Przeciwko wrogom powstaniem chrobrymi!
Módl się o ludu, tobie przyszłość dana,
Jak w niebie tak i na ziemi!

Nad czarną niwą z czołem pochylonem
Praca twa znojna modlitwą się stanie!
Módl się o ludu rankiem i wieczorem:
Chleb nasz powszedni racz nam dać o Panie!

Za winy ojców naszych i za swoje
Cierpi Twój naród okuty w kajdany!
Ojcze! — wołają do Cię dzieci Twoje —
Odpuść nam winy jak my odpuszczamy!

My wrogom naszym winy zapomniemy
Sprawiedliwości gdy się zadość stanie,
Bo my wolności na ziemi pragniemy;
Na pokuszenie nie wódź nas o Panie!

Z wiarą, nadzieją i miłością w duszy
Idzie lud polski do krzyża Twojego,
Boskie Twe Serce o niechaj się wzruszy!
Wybaw nas Panie od zła wszelakiego!

Czesława Grzybczyk.

Dwaj bracia Litwini.

(Opowiadanie historyczne).

(Dokończenie).

Gdy się król Sobieski dowiedział o tym niespodziewanym napadzie, kazał zwołać pode Lwów wszystko wojsko, jakie było w okolicach Rusi i Podola. Ale tego wojska nie wiele na miejscu stanęło, bo dużo pułków zostało rozpuszczonych po kwaterach. Że zaś czasu już było mało, bo Turcy i Tatarzy zaledwie o 20 mil byli od Lwowa, więc król, nie tracąc czasu, wyruszył w pole z wojskiem, którego miał 10,000. Z tą małą siłą stanął obozem nad Dniestrem obok miasteczka Żurawna, a było to dnia 24 września 220 lat temu. Po drugiej stronie rzeki zdaleka bielały na rozległem polu namioty nieprzyjaciół, a było razem tych bisurma-

nów 210,000 czyli na jednego Polaka było dwudziestu jeden nieprzyjaciół! Cóż powiecie na to, czytelnicy? Może król Sobek struchlał! może prosił o pokój? O! nie, bynajmniej. Zanim się Turcy z Tatarami przeprawili przez rzekę, kazał on obóz swój dokoła okopać i obstawić wozami i tak czekał na napaść, a sam tymczasem wysyłał to konnicę, żeby niepokoiła Turków, to znowu sam sam z paru tysiącami wyborowych wojaków wypadał cichaczem w nocy i bił straszliwie wysunięte naprzód wysunięte oddziały tureckie. Tak go się zresztą Turcy i Tatarzy bali, że choćby ich stu na niego wyszło, to pierzchali przed jego potężną szablicą, bo oręż ten w ręku silnego króla bez odpoczynku głowy Turkom ścinał. W tem przybywa królowi 3,000 wojska na pomoc i wiecie kto ich głównie sprowadził? Oto nasz Szymek Ciwuń, który u króla wyprosił, że mu pozwolił z innymi zbierać oddziały z najdalszych okolic.

Ale cóż znaczyły te trzy tysiące ludzi przeciw tak wielkiej potędze Turków? Już kilkanaście dni ciągle się oba wojska ucierają ze sobą, giną jak muchy bisurmany, ale i naszych po trochu ubywa. Deszcz lał całemi dniami jak z cebra; upływa już trzeci tydzień, a tu znikąd Polakom nie przybywa ani ludzi ani żywności. Głód czuć się już dawał, a prochu i kul już były ostatki. Król zwołał regimentarzy i dowódzców na radę wojenną do swego namiotu i postanowił, skoro tylko deszcze ulewne przestaną, z całą mocą napaść na obóz Turków i albo ich rozpędzić, albo też poledz wszystkim z chwałą, inaczej jeżeli nie kula i szable tureckie, to sam głód dobiłby Polaków.

Ze spuszczoną głową panowie radni żegnali króla, rozchodząc się do swych pułków. Jeden tylko generał Marcin Kącki, co dowodził artyleryą, to jest armatami, nie tracił serca i nadziei w pomoc Bożą.

Trudne położenie naszych wobec takiej potęgi wroga odczuł boleśnie i nasz Szymek, a bolał podwójnie: raz, że Turkowi nic zrobić nie można, powtóre, że kiedy tak rzeczy stoją, nigdy się z bratem swoim nie zobaczy!

Pewnego wieczora, a było to w połowie października, miał on rozkaz przejrzeć straże przed obozem, obok starego zamku żurawińskiego. Zamek żurawiński niegdyś ogromny, dziś miał dach zerwany, okna wybite i mury porozwalane, bo go tak Turcy zniszczyli. Kiedy Szymek obejrzał zewnętrzne mury zamku, głód mu zaczął mocno dokuczać. Zgłodzony i przeziębnięty zaczął choldzić wśród gruzów zamkowych, gdzie dawni panowie zwykli przechowywać beczki starego, dobrego wina, więc też i łyknął ślinkę na to wspomnienie. Z tą myślą zaszedł po schodach do zamkowych ochów. Księżyc w tej chwili zaświecił między chmurami, tak, że

przez okienka piwnic przechodziły jasne promienie. Chodzi tu i owdzie, wina jak niema tak niema! ale za to za dziesiątemi może drzwiami potrąca o jakieś dwie nadzwyczaj grube rury żelazne. Przygląda się... a to ogromne dwie armaty; przy nich leżało ze dwadzieścia kul żelaznych i kilka beczek prochu.

— Chryste Panie!... O! Matko Boska Ostrobramska! — zawołał — takich ogromnych armat nigdy w życiu mojem nie widziałem, a toć to jak kłody dębów stuletnich!

Uradowany tem odkryciem Szymek, zapomniał o głodzie, winie i chłodzie, natychmiast poszedł donieść panu Kąckiemu, że tyle prochu, kul i dwie ogromne armaty odkrył. Sam król, mocno uradował się tą nowiną, a jenerał Kącki kazał bez zwłoki na wierzch to wszystko wydobyć. Zaraz też nabili prochem i kulami dwie wielkie lufy armatnie i jeszcze tej samej nocy kilkanaście razy strzelono wprost do tureckiego obozu. Wedle rady tego generała, król po wystrzałach kazał wszystkim pułkom wydać ogromne okrzyki radości, jakby powitania nowoprzybyłych a pożądanych gości. Wiedzieli dobrze, jakiego strachu przez to napędzą Turkom, niedługo też, nad samem ranem, usłyszano jakieś dziwne krzyki w ich obozie. Za chwilę wszystko ucichło; tylko straże chodziły dokoła i zamieniały z sobą hasła.

Obóz polski zasłaniały wzgórza, ztąd też dobrze go Turcy widzieć nie mogli. Król tej nocy spał ledwo dwie godziny, a chodził i naradzał się o o bitwie, którą chciał zakończyć przykry los swojego wojska.

Kiedy tak się przechadza wzdłuż namiotów, naraz pada pod nogi królowi z poza wzgórka strzała, a przy niej wisi karteczka. Zdziwiony król podnosi ją, pokazuje Kąckiemu i odczytuje następujące słowa po polsku napisane;

»Dwie wielkie kule armatnie wpadły w sam środek obozu, jedna z nich rozerwała namiot samego Ibrahima. Turcy są w strachu; myślą, że Polakom nowe posiłki z armatami przyszły. Przytem janczarskie pułki sułtańskie buntują się, nie chcą już dłużej stać na polu o głodzie i bez korzyści. Nie traćcie odwagi; pewnie będą was prosili o pokój. Wraz ze mną jest w niewoli 15.000 Polaków«.

Na spodzie karteczki był podpis: »Jan Ciwuń.«

— Niech Bóg da zdrowie tym Ciwuniom — rzekł uradowany król — teraz mospanie będę wiedział, jak z mańki zagrać tym psom bisurmańskim. Każ jenerale zebrać się o świcie wszystkiemu wojsku w szeregi i popędzimy ze wzgórza, jak orły na zdobycz, do ataku. Jeżeli wpierw jeszcze o pokój Turek prosić nas nie będzie, to uderzymy z całą gwałtownością na niego!

Jenerał Kącki natychmiast wydał rozkazy wojsku, a kiedy

zobaczył Szymka w szeregu, opowiedział mu, co zaszło. Poczciwy Szymek z radości łzami się zalał, tak się ucieszył, że brat jego żyje i że taką przysługę dobrej sprawie uczynił.

Nim pułki wystąpiły z obozu, król kazał zrana bębnić i grać muzyce zdaleka za obozem na znak, że to niby nowe wojsko przychodzi, a potem wszyscy ogromnym głosem zaśpiewali pieśń:

Boga-Rodzico, Dziewico!
Bogiem sławiona, Marya...

jak to mieli zwyczaj czynić Polacy, kiedy do bitwy się szykowali. Pieśń tę nabożną a zarazem wojenną dobrze już Turcy znali.

Wtem król wyszedł na wzgórze i ujrzał, jak zdaleka z obozu tureckiego jakieś pułki odchodzą. Domyślił się, że to jest straż przyboczna sułtańska, owi janczarowie, którzy się zbuntowali i dłużej już w polu obozem stać nie chcieli.

Wtem jacyś dwaj jeźdzcy pokazują się od strony Turków, a w ręku wiewają białami chorągwiami na znak, że chcą z Polakami mówić. Wysłał i król dwóch jezdnych od siebie i dowiedział się za chwilę, że Turcy proszą o pokój. Król nie łatwo się skłaniał do pokoju, ale w końcu przystał na niego z tym wstępnym warunkiem, ażeby przed podpisaniem pokoju najprzód wypuścili wszystkich jeńców polskich bez okupu i wszystkie wozy ze zdobyczą, którą w krajach polskich zabrali. Turcy zgodzili się na to i niedługo piętnaście tysięcy jeńców przedstawili królowi. Przywieźli też trzy tysiące wozów napełnionych bogactwami polskiemi. Potem Turcy spiesznie za rzekę Dniestr w swoje kraje pociągnęli. Stało się to 17 października 1676 roku.

Niezmierna teraz radość zapanowała w obozie polskim: ojciec syna, syn ojca, brat brata witali z niewoli. Szymek uwijał się w tłumie szukając brata i już się zaczął smucić, że nie mógł odszukać Janka, gdy wtem jakiś Turek w zawoju na głowie, w kaftanie i szerokich hajdawarach wychodzi z tłumu do niego i woła:

— Cóż to, nie poznajesz mnie, Szymku?

Wtedy Szymek skoczył ku niemu, objął go za szyję i obaj bracia popłakali się z radości.

Mężny król Sobieski, cudem prawie ocaliwszy swoje szczupłe wojsko, klęczał długo podczas obozowej Mszy świętej i dziękował Najwyższemu za to bezprzykładne zwycięztwo. Potem podał swą dłoń dwom mężnym braciom Litwinom, podziękował im za przysługi oddane Ojczyźnie, darował każdemu po dzielnym koniu tureckim i po szabli wysadzanej drogiemi kamieniami; krzyżów i orderów za owych czasów nie przypinano nikomu. Prócz tego zrobił całą rodzinę Ciwuniów szlachcicami, co na owe czasy wiele znaczyło, a gdy się dowiedział, że mają jeszcze starego ojca na

zagrodzie, przyrzekł im, że za grunt, na którym tenże pańszczyznę tenże odrabiał, zapłaci dziedzicowi i odda mu go na własność wieczystą za to, że tak dzielnych synów wychował.

* * *

W domu Ciwunia radość była niezmierna, gdy synów wracających z wojny obaczył. Słuchając opowiadań o dziwnych przygodach, które przeszli, rozpłakał się stary ojciec. Przez kilka dni schodziła się do ich chaty cała gromada. Dwaj wojacy musieli im opowiadać i o wojnie i o Turkach i o tej kresie, którą miał Szymek na licu od szabli tureckiej. Janek znów opowiadał o swej niewoli — a jeszcze nie mało czasu upłynęło, nim mu włosy porosły na głowie, którą mu Turcy tak gładko zgolili. *J. Gr.*

KLĄTWA.

Zdarzenie prawdziwe.

Słońce miało się ku zachodowi, cisza i pokój panowały w naturze, właśnie najmilsza pora do przechadzki; wybiegłem więc w pole z towarzyszem nieco starszym odemnie. Radowały nas obfite plony, które prace rolników hojnie nadgrodzić miały; piękna to pora żniwo dla wieśniaków, wesoło kończą siec pole pszenicy, a my wdzięcznym uchem słuchamy, kiedy niekiedy dolatującej nas piosenki przodownika. Jak wiele poezyi zawierają pieśni ludu, o tem wszczęła się między nami rozmowa; pomału ścieszka zawiodła nas mimowolnie w dębowy lasek; słońce innym ludom przyświecać poszło, a nad nami ukazała się blada twarz księżyca, wyzierająca wśród dębowych liści, jak uwieńczone czoło poległego bohatera. Księżyc, wieczorna pora wśród gaju, tok rozmowy, naprowadziły nas na różne podania, o duchach, o klątwach, co obok pieśni ludu, tło miejscowej poezyi tworzą. Towarzysz mój wspomniał mi kilka podań, o których kiedyś zasłyszał, wreszcie opowiedział mi zdarzenie prawdziwe w znakomitym rodzie polskim, którego prawnucy dziś żyją. Ja wiernie powtarzam słowa opowiadającego.

Jeszcze nie minęło stulecie, jak żyła w ..... podeszła wiekiem dama, wdowa po ..... Od śmierci męża samotne pędziła życie; wrodzonej dumy, nie wykazywała wystawnością; wszystkie nadzieje szczęścia i chwały, złożyła na syna jedynaka, który dopiero z lat młodzieńczych wychodził. Syn odpłacał czułą wdzięcznością za miłość matczyną, rzadko się wydalał z rodzinnego domu. Każdą chwilę starał się uprzyjemnić staruszce, a ona cała żyła w przyszłości, codzień kabała, jedyne wieczorne zatrudnienie,

wykrywała jej jakąś nową, świetną gwiazdę, w paśmie przyszłego życia młodzieńca.

Tak im zbiegały spokojnie dni, miesiące, aż wreszcie młodzieniec otrzymał zaprosiny na ucztę do jakiegoś możnego pana; matka radziła je przyjąć; pojechał, bawił dni kilka. Minęły dnie zabawy, wraca do matki, ale już nie ten sam, jakaś niespokojność maluje się na czole jego, mury dworca nie wystarczają duszy jego, biega po polach, lasach, w końcu zaczął się często z domu wydalać; matka nie sprzeciwiała się temu, ale i jej humor zaczął się psuć od niejakiego czasu, bo kabała, co synowi wojewodziankę za żonę przeznaczyć miała, żadnym sposobem wyjść nie chciała. Stara zaczęła mieć podejrzenie, kazała śledzić kroki syna; wkrótce dowiedziała się, że młodzieniec bawi częstemi pobyty w domu biednego szlachcica, sąsiada, ojca jedynaczki córki. Wiadomość ta nie była jej przyjemną, ale nie troszczyła się wielce, polegając na zasadach dumy rodowej, co w serce syna wszczepiła.

Dnia jednego wraca młodzieniec wieczorem do rodzinnego domu, po kilkodniowej niebytności; jakieś cierpienie miota jego duszą; usiłuje je pokryć, ale matka to spostrzega, zapytuje o przyczynę; młodzieniec wyjawia swą miłość do córki biednego sąsiada. Matka jakby gromem rażona, stara się odwieść syna od zgubnego podług niej zamiaru, przywodzi szybkiemi słowy rozmaite przeszkody, różnice rodu i majątku; syn przy swojem obstaje z pokorą, lecz z stałością; matka coraz szybciej i słabiej wymawia jakieś okropne słowa ... pojednanie ... nagła śmierć ... psy ... związku ująć trudno, wreszcie pada na ziemię, służebne niewiasty unoszą ją zemdloną; syn opuszcza komnatę, kroki jego niesforne okazują, że rozpacz niemi kieruje.

Stary kredencerz miał przechodząc słyszeć całą rozmowę, ale bladł na samo wspomnienie, czasem tylko o jakiejś klątwie w gronie służebnych przebąknął, ale nikt się całej rzeczy od niego dowiedzieć nie mógł. On tylko wiedział, że pani oświadczyła synowi, iż gdy się ożeni z tą córką ubogiego szlachcica, to go już widzieć na oczy nie chce, że się nigdy z nim nie pojedna, a gdyby się pojednała, to niech ją zaraz wtedy nagła śmierć spotka, niech psy jej ciało rozszarpią. Stara pani powróciła do zdrowia, smutno i głucho w jej dworze, syn zdaje się na zawsze go opuscił, wieść tylko doszła, że gdzieś w zaciszu dni szczęśliwe pędzi z żoną wyboru serca swego, o ile mu ich pamięć matki nie zatruwa.

Dużo czasu ubiegło, aż jednego ranka zatętniały podkowy po zarosłym dziedzińcu głuchej włości, opuszczonej matki; posłaniec skoczył z konia, wszedł do komnaty, oddał jakieś pismo, tysiąc uczuć i namiętności przebiegło po zmarszczonych licach wiekiem i zgryzotą przygnębionej staruszki. Każe co prędzej wra-

cać posłańcowi, i donieść, że pojutrze stanie u syna. Niezwykły ruch i życie napełniają mury jej dworca, krzątają się stare sługi, gotują do podróży, zaciągają przed dom zapyloną kolasę, zakładają sześć koni; stara z dziwnym wsiada pośpiechem. Konie nie chcą z miejsca ruszyć, niezwykłe podróży; stara każe je naglić, stangret zacina — ruszyły.

W domu syna wielkie krzątanie, bo syn się narodził, a posłaniec doniósł, że matka przybędzie; wszystkich lica jaśnieją wesołością i szczęściem, gotują komnaty, rozbiegają się posłańce, w goście sąsiady, uczta dwojaka; na przyjęcie matki i chrzciny nowonarodzonego.

Nadeszło to tak długo i gorąco oczekiwane jutro, — wszystko w godową przybrane szatę, — co chwila zajeżdża sześcio- lub czterokonna kareta, a z niej wysunie się najprzód rogówka, potem zaświeci podgolona głowa, karabela zabrzęknie, a państwo domu przyjmują w progu, hajducy wprowadzają do komnat.

Już się zebrała cała okolica, przybiega konny, donosi, że matka już do wsi wjeżdża; syn z kielichem w ręku, synowa z dziecina czekają w progu, a goszczących grono otacza ich.

Zajeżdża kolasa, wysiada rzeźko zgrzybiała matka, bo za młodość starczy szczęście z oglądania dzieci i wnuka. Porywa w swe objęcia drobną dziecinę; nadzieja jak spadająca gwiazda, przesunęła się po czołach rodziny. Syn chce spełnić kielich na pojednanie się z matką, szkło dziki dźwięk wydaje, kielich rozpryskuje się w kawałki w jego dłoni, dziecko boleśnie zakwiliło, bladość pokryła lica obecnych; porywa drugi kielich, ale i ten z dźwiękiem pęka, matka pada na ziemię, przybiegają — podnoszą — nieżywa! —

Okropna cisza, zdumienie, boleść, zajęły miejsce przedchwilowej radości. Syn, jakby dręczony jakąś obawą, porywa ciało matki, do górnych unosi komnat, zamykać i pilnować nakazuje. Zamiast uczty, nastąpił pogrzeb; smutny i dziwny przypadek dużo zebrał osób.

Przed dworem czarny wóz, zaprzężony karemi końmi, mnóstwo światła, księży w kapach i komżach, chóry mnichów zaczynają już przed wozem śpiew ponury, przewodniczący człowiekowi do ostatniego ustronia, którego mu ziemia użycza; wychodzi blady, czarno przybrany syn zmarłej, a słudzy wynoszą bogatą trumnę, wstawiają na wóz, — ruszyli wolnemi kroki.

Okropny krzyk wstrzymuje pochód; trumna spadła z woza, wieko odpada, trup wylatuje; dwa brytany przyskakują i rozrywają zczerniałe policzki zmarłej; — syn wydziera im zdobycz, wkłada nazad do trumny nieszczęsną matkę, — pada bez zmysłów, — odnoszą go do domu. — Trumnę włożyli znów na wóz,



Rzeka Jordan. (Do artykułu: Obrazki z Ziemi świętej).

wiozą dalej, ale śpiewu nie słychać, bo tak okropny wypadek zaniemił wszystkich. —

Przybyli na cmentarz, wpuścili ciało do grobu, ksiądz pobłogosławił, rzucono ziemię na trumnę, głęboko schowały się zwłoki srogo ukaranej dumnej niewiasty.

Stary kredencarz, wracając z cmentarza, powtarzał wieczny odpoczynek, opowiadając, że sprawdziła się klątwa, którą na siebie rzuciła stara, na przypadek, gdyby się kiedy z synem pojednać miała. Syn po długiej gorączkowej chorobie odwiedził grób matki wraz z żoną i dzieciną, — długo się modlili. Oby ich łzy otworzyły jej drogę do przebaczenia Pańskiego! *K. M.*

Obrazki z Ziemi świętej.

Główną rzeką w Ziemi świętej jest *Jordan*. Bierze on początek u podnóża najwyższej góry Anty-Libanu (Dziebel-Szejch) i przerżnąwszy się przez środek jeziora Genezareth, dąży piasczystą doliną do morza Martwego, jako do swego grobu.



Brzegi nadjordańskie.

Trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego i więcej uroczego nad brzegi jordańskie zwłaszcza w pustyni, gdzie Zbawiciel został od św. Jana ochrzczony. Zdala nie widać Jordanu, bo zielona taśma po obu stronach zupełnie zakrywa tę rzekę. Na przepyszne gaje, jakie tu widać, składają się dzikie oliwy, płaczące wierzby, kwieciste oleandry i gruba trzcina.

W tem miejscu, gdzie św. Jan ochrzcił Zbawiciela Pana, jest wielki zakręt koryta i bieg wody jest nadzwyczaj powolny. Lud opowiada sobie, że od czasu, jak się dał słyszeć z nieba głos, i jak Syn Boży ubłogosławił to miejsce, Jordan wstrzymał bystry pęd i teraz cicho i nieznacznie się przesuwa, jakby jeszcze nie wyszedł z trwogi i poszanowania na usłyszany głos Ojca niebieskiego.

Dotychczas w pierwszy dzień Wielkiego Tygodnia, zbiera się tu mnóstwo ludzi dla omycia się w Jordanie, i tu zwykli koszule maczać, które później chowają na dzień śmierci swojej.

Potomkowie męczenników.

Z Kraju Koreańskiego, o który między Chinami a Japonią toczyła się wojna w roku zeszłym, donosi na misyi tamże przebywający ks. Robert swemu Biskupowi, co następuje:

»W roku ubiegłym wysłałem jednego z pomocników moich, chrześcijanina do pewnej wsi pogańskiej. Skoro tylko we wsi rozeszła się wieść o przybyciu chrześcijanina, gdy kilka kobiet zapragnęło się z nim widzieć. Ponieważ atoli zwyczaje korejskie zabraniają obcym mężczyznom wstępu do mieszkania kobiet, urzeczywistnienie więc tego życzenia nie małe przedstawiało trudności.

Wreszcie zdołano urządzić upragnioną schadzkę. Pewnej nocy kilka korejskich niewiast znalazło się na oznaczonem miejscu. Po kilkunastu wzajemnych pytaniach z zakresu religii, kobiety te oświadczyły, że są wszystkie chrześcijankami, jeżeli nie rzeczywiście, to przynajmniej w głębi serca.

Nowe znajome powiedziały mi, że są prawnuczkami męczenników, którzy nie w r. 1866, ale znacznie pierwej ponieśli śmierć za wiarę. *Od tej chwili tylko z ust swych rodziców słyszały o religii.* Nie znały one wcale dziadków swych i babek, lecz ojcowie ich i matki otrzymały Chrzest w chwili śmierci i powiedziały im o niezbędności tego Sakramentu do zbawienia duszy.

— My więc — dodały — chrzcimy same umierające dzieci, jak również dorosłych, którzy już znają zasady naszej świętej wiary i mają niebawem pożegnać się z tym światem.

Poczciwe kobiety miały stary jakiś katechizm, które wszystkie prawie umiały na pamięć.

— Wkrótce do mojej wioski przybędzie Ojciec w celu udzielania wiernym Sakramentów św. Zawiadomię was o jego przybyciu, abyście mogły dopełnić również obowiązków religijnych.

— Ależ to niepodobieństwo! — zawołały jednogłośnie.

— W takim razie poproszę Ojca, by was tu odwiedził.

— Nie i o tem nie może być mowy. Chciałybyśmy wprawdzie zobaczyć Ojca, lecz obecnie nawet marzyć o czemś podobnem nie możemy.

— Czyż sądzicie, że bez tego możecie zostać zbawione?

— Ufamy w miłosierdzie Boże. W chwili naszej śmierci znajdzie się zawsze ktoś, co nas ochrzci i pójdziemy do nieba.

— Czy nie odbywacie żadnych bałwochwalczych praktyk?

— Nigdy! Mężowie nasi wiedzą dobrze, jaką wyznajemy wiarę i nie zmuszają nas do żadnych pogańskich obrzędów. Braknie nam tylko książek do nabożeństwa, kalendarza i obrazków.

— Dostarczę wam tego wszystkiego.

Rzeczywiście, katechista dał im niebawem książki do nabożeństwa i kalendarz, w ostatnich zaś czasach prosił mię o różańce dla nich. W jesieni zawiozę mu trochę obrazków.

Wreszcie katechista zapytał biedne kobiety, w jaki sposób obchodzą one święta i uroczystości?

W Niedzielę — odparły — modlimy się wspólnie przez cały ranek, w główniejsze zaś święta, po tej modlitwie czytamy głośno aż do wieczora jakąkolwiek książkę religijnej treści.

Zacne niewiasty uczą nawet swe dzieci, i w taki sposób zazady prawdziwej wiary przechodzą od jednego pokolenia do drugiego, jako najdroższa rodzinna spuścizna.

Niechże te niewiasty bedą wzniosłym przykładem dla naszych matek, które również powinny się starać o nauczanie dzieci religii i zachowania Bożych przykazań.

Rady gospodarskie.

Użyteczność pokrzywy w gospodarstwie. Nie masz może ziela więcej zaniedbanego i bardziej nienawidzonego nad pokrzywę. — Napróżno czepia się ona murów, rozgaszcza się po ogrodach, sama się wszędzie zasiewa i rośnie bujno, nikt jej nie chce, wszyscy depcą nogami, wyrywają i gniewają się na biedną pokrzywę utrzymując, że ona tylko parzy i na nic się nie przyda.

A jednak są kraje na świecie, w których ludzie biedni pragną zawsze pomyślnego sprzętu pokrzywy, dotąd bardzo ją szanują i zbierają jej ziarnka, z którego wytłaczają olej, a z łodygi przędza nici i wyrabiają grube płótna. Ileż to zbawiennych lekarstw z jej liści, z nasienia, korzonków i łodygi przyrządzają, używając w ciężkich chorobach z wielkim skutkiem. Ale najpożyteczniejszą okazuje się ona w gospodarstwie; są takie kraje, gdzie rolnicy często zużytkują pokrzywę na paszę dla zwierząt domowych, mię-

szają parzone pokrzywy ze ziemniakami i innemi korzeniami warzywnemi i dają jako pokarm bydłu. Indziej mieszają siekane pokrzywy z plewami i dają je kurom. Nawet ludzie doskonałą potrawę z nich przyrządzają na polewkę lub jarzynę. — Pokrzywy siekane i zmięszane z siadłem mlekiem służą za doskonałą paszę dla małych indycząt. Niektórzy rolnicy w zimie dają krowom liście pokrzyw ususzone w cieniu.

Utrzymują, że dojrzałe nasienie pokrzywy dawane kurom, przyspiesza ich niesienie. W tym celu radzą także, aby wiosną zebrać znaczny zapas pokrzyw na zimę, a kiedy kury przestają nieść, wrzuca się suchej pokrzywy do wrzącej wody, dla przywrócenia im giętkości, mięsza się je z plewami, studzi ową mięszaninę i daje kurom, które w jajach oddają z dobrym procentem, dane im w ten sposób pokrzywy. — Oprócz tego doświadczeni koniarze używają startych na proszek pokrzyw na poprawę sierści u konia i dania jej pięknego połysku. W tym celu codzień rano i wieczór dorzucają garstkę tego proszku do obroku, skutkiem czego konie się tuczą, sierść nabiera gładkości.

Ci, którzy uznali już pożytek z pokrzywy pod względem lekarskim, przygotowują ją w trojaki sposób. Najprzód w delikatnym proszku, który może być mięszanym do pokarmów, albo przejęty we wodzie, a który ułatwia trawienie, powtóre w syropie; a po trzecie jako wódkę, której można używać przed obiadem dla wzbudzenia apetytu, tak jak piołunkówki i t. p. Własność jej lecząca miała być dowiedzioną szczególnie w puchlinach wodnych, żółtaczkach i t. p. Usmarzone w cukrze korzenie uspakajają zadawniony kaszel, liście zaś mają przywracać ruch paralitykom i obudzać ludzi zapadłych w letarg, herbata z tychże usuwa zaflegmienie gardła, piersi i żołądka.

Przeciw czerwonce u świń okazał się bardzo dobrym środkiem siarczan żelaza (Eisenvitriol). Należy go potłuc i wszystkim świniom z wyjątkiem zupełnie małych prosiąt w pierwszych czterech dniach każdego miesiąca wsypać do rannej paszy. Starym świniom daje się pół łyżeczki od kawy, młodym świniom odpowiednio mniej. Środek ten jest nadzwyczaj tani i we wszystkich aptekach do nabycia.

Dlaczego żydzi nie jedzą wieprzowiny.

(Podanie ludu flamandzkiego).

Krąży tu powieść, że przed bardzo dawnym wiekiem,
Kiedy Zbawiciel Pan był jeszcze człowiekiem,
W czasie długiej pielgrzymki z uczniami Swojemi
Onego czasu stanął na flamandzkiej ziemi.

Żydzi drwiąc, chcieli Zbawcę poniżyć przed ludem;
Zażądać, by moc swoją objawił im cudem,
A pewni, że z sekretu swój swego nie wyda,
Uradzili ogromną beczką nakryć żyda.
I z szyderskiem wyzwaniem miał starszy z gawiedzi
Pytać Chrystusa: Co też pod tą beczką siedzi?
Jakoż wystąpił rabin przed Pana oblicze:
»Słyszeliśmy, że masz władze tajemnicze,
Że robisz różne cuda; pokaż-że nam sztukę,
A uwierzym w twe słowa i w twoją naukę.
Widzisz tę dużą beczkę — dawniej była z miodem,
No zgadnij — co tam siedzi schowane pod spodem?« —
Myśleli, że się będzie wahał w odpowiedzi —
Lecz Chrystus rzekł z uśmiechem: »Pod beczką wieprz siedzi«
Zaprzeczali żydzi z szyderskim okrzykiem —
Lecz w tej chwili z pod fasy wieprz wyłazi z kwikiem.
Żydostwo, jak ukropem sparzone — odskoczy,
Trudno nie wierzyć, kiedy własne widzą oczy.
Tymczasem świnia bryknie, bachury wywraca,
Dopędza trzodę chlewną, która z pola wraca,
Łączy się z bracią swemi; jeszcze raz zakwiknie
I cała trzoda świnek wśród kurzawy niknie.
Wstyd i żal następuje — hurgot się ucisza,
Opłakiwali żydzi swego towarzysza,
Napróżno go szukali z boleścią i strachem,
Chcieli dojść między trzodą Icka Blinderachem;
Oskrobać z niego szorstką powłokę szczeciny
I do osierociałej odesłać rodziny.
Lecz niestety! daremne zabiegi i cele,
Świń podobnych do siebie zanadto jest wiele! —
To też żydzi, oddawna, dla ważnej przyczyny
Nie śmieją w żaden sposób spożywać świniny.
Bo żyd, co świnią został, nie znalazł się przecie,
A żyd-by nie ukąsił żyda za nic w świecie.

Rady lekarskie.

Środek przeciw wściekliźnie.

Przy panujących w lecie upałach, wskutek których łatwo jest być narażonym na pokąsanie przez wściekłego zwierza, nie od rzeczy będzie przytoczyć podany przed 60 laty przez X. Mateusza Lisieckiego, Dziekana Wieruszewskiego, Proboszcza w Woj-

cinie, *sposób leczenia wścieklizny*, zwłaszcza, że jest niekosztowny i łatwo może być użyty przez najuboższą nawet klasę ludności.

Sposób ten leczenia, jak to poświadczał pomieniony X. Dziekan, więcej jak na 100 osobach praktykowany, ani razu nie zawiódł; szczególniej zaś zadziwiające okazał skutki, kiedy w miesiącu listopadzie 1839 roku wilk wściekły wyszedłszy z lasu do wsi Żdżar należącego, pod samą wsią Wiewiórką uderzył na owce i bydło włościanina Jana Mani, pędzone z paszy przez jego córkę i pokaleczył kilka sztuk; nareszcie rzucił się na 16-to letnią dziewczynę toż bydło pędzącą, ukąsił ją w podbródek, i cały lewy policzek pogryzł; ztamtąd tułając się po różnych wsiach okolicznych, aż do parafii Kraszewice, gdzie został zabity, pokaleczył i pogryzł do 40 osób prócz trzody i bydła.

Wszyscy od tego wilka wściekłego pokąsani, mówi dalej ksiądz Lisiecki, którzy używali mego lekarstwa, obok środków od lekarzy powiatu Wieluńskiego i Kaliskiego im przepisanych, równie jak i ten człowiek, który go zabił, mocno pokaleczony zostali przy zdrowiu doskonale wyleczeni. Cztery zaś osoby w parafii Kraszewice, od tegoż samego wściekłago wilka pokąsane, które nie wiedziały o moim sposobie leczenia wścieklizny, pomimo użycia środków przez lekarzy przepisanych, pomarły. To moje podanie, dodaje ksiądz Lisiecki, mógłbym udowodnić świadectwami kilku wójtów i naczelnika powiatu Wieluńskiego.

Zbawiennem tem lekarstwem jest roślina *Trędownikiem* (Scrophularia nodosa) zwana; zbiera się ona w miesiącach Czerwcu i Lipcu z korzeniem, suszy się na wolnem powietrzu w cieniu. W razie potrzeby użycia, korzonki odkrawają się od łodygi, opłukują się z ziemi, suszą na gorącym trzonie, i trą się na proszek w moździerzu lub na kamieniu. Tego proszku daje się ukąszonemu od wściekłego zwierza, dobrze na koniec noża wypić z łyżką wody naczczo rano i na noc, bez różnicy wieku. Łodygi zaś, liście i kwiat, kraje się drobno jak sieczkę; tak pokrajanego ziela bierze się szczypta w trzy palce do pół kwarty wody, dwie takie szczypty gotuje się pod pokrywką, jak inne ziółka, odcedza, przestudza i daje pić letnio pokąsanemu, przed południem i po południu za zwyczajny napój, przez dni 8 do 14-stu.

Na rany od wściekłych zwierząt zadane, dobrze jest rozpuścić sól kuchenną w miękkiej wodzie i tą wodą rany często przemywać. Gdzie mało znajduje się trędownika, można raz odcedziwszy, drugi raz nalać i mocniej gotować, odcedzić i dać pić bydlętom.

Pogryzioną trzodę tym samym odwarem poić, przysypując proszku trzy razy dniem.

Praktykując ten sposób, mówi dalej ksiądz Lisiecki przez

lat około 40, jedna zdarzyła się niewiasta, która już okazała objawy wścieklizny; ale i ta przy pilnem używaniu mego lekarstwa bez innej pomocy szczęśliwie uleczoną została.

Zacny ów kapłan, przesyłając przepis powyższy do jednej z warszawskich gazet przed 60 laty, dla podania go do powszechnej wiadomości, powiada w końcu: Za szczęśliwego się poczytam, gdy szanowna Redakcya ten mój artykuł i receptę umieści w swojem piśmie, albowiem przeżywszy już lat 71 wieku, niedługo będę mógł sam ratować nieszczęśliwych.

W uzupełnieniu powyższego artykułu, dodamy, iż *trędownik* węzłowaty czyli pospolity, rośnie w całej prawie Europie w miejscach wilgotnych i zacienionych, ma korzonki snujące się po ziemi, węzełkowate, liście w kształt serca wycięte, ostre, piłkowane, kwiat w gronkach podłużnych brudno-czerwony, smak przykry, zapach silny, mdlący, łodyga dwułokciowa, czworograniasta, ostrokątna, gładka.

Własności jego lekarskie są łagodzące, rozpędzające i uspokajające, liście używane na nabrzmiałości skrofuliczne; skuteczny jest również na rany, hemoroidy, trąd i przeciw skrofułom.

Do niniejszego numeru dołącza się **Nr 8 „Nowin i Rozmaitości“.**

Upraszamy

o nadsyłanie prenumeraty na 2-gie półrocze. Ktoby zaś nie chciał naszych gazetek dalej trzymać, niech nam ten numer zwróci. Zatrzymawszy bowiem numer, obowiązuje się tem samem do zapłacenia.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.